

## Sylvia Chutnik

### Jolanta\* (fragment)

\* Powieść *Jolanta* Sylwii Chutnik została opublikowana przez Wydawnictwo Znak. Nakładem tej oficyny ukazała się ponadto książka *W krainie czarów* tej samej autorki.

Jak długo można jechać? Za oknami coraz mniej ludzi, za to coraz więcej starych gazet i zjełczałych ogryzków. Tramwaj kolebie się na wszystkie strony i ledwo wyrabia na zakrętach. Przed nim biegną motorniczy, którzy na bieżąco układają tory, bo przecież w takim miejscu to nawet szyn porządnie nie położyli. Jedziemy i jedziemy, a za chwilę skończy się kula ziemską. Za chwilę sprawdzać będą paszporty do innej galaktyki. Gdyby wziąć szpilkę, to my jesteśmy na jej koniuszku. Podróż do wnętrza ziemi, po złote runo. Odkryć trzeba będzie nowe kontynenty, bo na stare nie starczy odpowiednich słów. Powoli widać już na horyzoncie industrialne budowle, jakieś fabryki, porty, kominy.

W miejscu, gdzie koty szczekają, a psy bawią się motkiem wełny, stał blok. Dość spory, przypominający wyglądem bunkier smutnego władcy. W monumentalnej budowlu poukładano ludzi niczym w pudełkach od zapałek. Setki mróweczek roiło się między piętrami, zajęte były swoimi sprawami. Wszędzie słychać było pisk i skrobanie pazurków. Jakby człowiek wszedł w środek szcurzej kolacji.

Przed blokiem stał trzepak pomalowany na kolor obdrapany i rdzawy. Wisiała na nim dziewczynka. Skarpety miała długie i dziurawe, a twarz szczerbatą i nieobecną.

– Jak się nazywasz?

– A kto pyta?

– No, jak ci na imię?

– Pomidor!

Mamy ją. To musi być ona.

\* \* \*

Kawałek zbitej butelki. Sięgnęła po niego, kiedy wracali z rodziną z kolejnej nudnej wizyty. Ile to mogło być lat temu? Dziesięć albo tysiąc, czas to rzecz podejrzana i nie wolno tak pochopnie szafować datami. W każdym razie schowała swój kolorowy skarb do kieszeni i mocno ścisnęła. Ostre końce szkiełka przecięły jej skórę i kieszonka sukienki zapaskudziła się krwią. Matka na ten widok zaczęła swoją litanię. Słowa, puszczone z katarynki, popłynęły w autobusie i wbiły się do uszu małej dziewczynki:

– Jak ja to teraz wypiorę, przecież to nowa kiecka była, czemu nic nie szanujesz, pokaż, gdzie ciebie boli? Jezusmaria, to trzeba chyba zszywać będzie, a jak się zakażenie wdało, to do szpitala jechać. A jest niedziela i trudności. Nie wytrzymam, moje życie, dlaczego ja, co się z tobą, dziewczyno, dzieje.

A ona obracała dalej swój znaleziony skarb i coraz bardziej zaciśkała na nim pięści.

Mogła mieć inne życie. Ale nie miała.

Pocieszała się więc, jak mogła, i w rzeczach błahych, lecz ciekawych odnajdować potrafiła ulgę i chwile szczęśliwe. A to się zagapiła na przejeżdżający pociąg, który dudnił pod nogami jak oszalały jeździec, a to nakrywała kołdrę aż na głowę i słuchała szumów w uchu. Odrywała sterczące nitki z obrusów i międliła je w ustach. Pluła z wysokości, nie myła rąk po wizycie w toalecie. Starła się rządzić światem w sposób subtelny i niezauważalny. Jak to mówią: robiła, co mogła, aby umilić sobie swoje bycie. Czasami stawiała na palcach tuż po obudzeniu i prostowała ręce, dotykając sufitu. Nad nią wisiał spękany tynk bloku z azbestu, który tężał pod każdym kolejnym tąpnięciem ziemi. Lubiła sobie wtedy wyobrazać, że każda rysa na ścianie to jej własna zmarszczka. Patrząc na siatkę pęknięć, mogła ona pochodzić z czasów dinozaura. Wczesna jura, późny trias. A nawet dalej, nawet w głąb ziemskiej historii.

Stara baba uwięziona w ciele dziewczyny. Nie przeszkadzała swoim byciem nikomu, była jak kameleon wtapiający się wyglądem w otoczenie. Przy drzwiach nie było sposobu, aby ją odróżnić od futryny, przy stole była krzesłem, na tle ławki osiedlowej była jak wyłamana deska ze sterczącymi drzazgami. Kiedy jechała w windzie, to nawet światło się nie zapalało, bo nie było do końca wiadomo, czy to ściana kabiny, czy zagubiony owad, który wleciał i jedzie na gapę. Ale wewnątrz siebie Jolanta była szakalem. Straszny wężeń boa przekradającym się niepostrzeżenie, kiedy nikt się tego nie spodziewa. Myliła tropy, była wyrachowana i nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Dziecko, ty się musisz uczyć. Rozumiesz? Nie rysuj po zeszytach, bo tak nie można, i nie niszczyć ołówków, bo tak nie można. Rozumiesz?

Kiwała głową i zaraz brała flamastry, smarując nimi po książkach i nawet trochę po ścianach. Nie lubiła siebie i krzywiła się na samą myśl o swoim złym zachowaniu. Być taką porządną osobą, być taką dobrą jak siostra cioteczna.

– Tylko popatrz na nią! Ułożona, schludna, uśmiechnięta i niesprawiająca problemów. A ty?

A ona nie. I czemu to tak, nie może ojciec pasa zdjąć i wytłumaczyć, co trzeba? Niekoniecznie, bo ojca nie ma. Rodzice się rozwiedli i stanowią teraz tło do społecznych reportaży o rozbitych rodzinach.

W takim razie, gdzie jest matka? Nie może matka metodą kar i gróźb zaprowadzić porządku w roztrzepanej głowie?

No widać nie. Poza tym wszystkie dzieciaki w bloku były rozbisurmanione i krnąbrne. Czy to jakiś wirus blokowisk, czy to jakaś zaraza? Nic, tylko całe klasy pełne były huncwotów i ananasów. Nauczyciele stosowali hurtowo kary i czasami aż przejść nie było można po klasie, bo połowa dzieci stała w kącie lub przy tablicy, rozwiązując zadania dodatkowe. I czy nauczyciele robili to z ukrywaną satysfakcją? Nie, a skąd. Oni płakali i się wyżywali. Serce ich mocno bolało, ale nie było sposobu na te urwipołcie, no człowiek choćby nie chciał, to musiał gnoić, gdyż innej rady nie było. W kotle lat osiemdziesiątych ludzie byli już tak zmęczeni, że gdyby im przynieść poradniki pedagogiczne, toby jeszcze podzielili nimi po głowie i kazali spieprzać z tymi radami. Ciągnął się ten PRL i skończyć nie mógł. Jak zapomniana guma do żucia przyklejająca się do podeszwy buta i spowalniająca kroki. I dzieciaki też już się w ławkach kręciły i marudziły:

– Będą te zmiany, a idą już te zmiany?

Nic nie idzie, nic nie przyjdzie. Nawet Święty Mikołaj, bo byliście takie beznadziejne, że i nawet święty Szatan was nie odwiedzi. Nie zadawajcie pytań, odrabiajcie lekcje i dajcie sobie spokój z oczekiwaniami, bo irytujecie biednych dorosłych patrzących na biedne dzieci, które są tak biedne, że nawet w swetrach im mieszkają myszy, a w fartuszkach mole.

Taki to był czas, w kolorze rozgotowanych ziemniaków przynoszonych z piwnicy.

Raz obudził Jolkę zapach pyrkoczących warzyw. Te wszystkie buraczki, szpinaki znalezione na strychu. Te wystane w kolejkach cebule z nalotem pleśni. Już wiedziała, że będzie cały dzień w złym humorze. Co za zapach, czemu wszystko pachnie jak mokre liście, całe dzieciństwo jak zgniła przyroda. Rozkopała kołdrę i wygięła usta we wszystkie strony. Żaden uśmiech, może foch. Niekontrolowany przyływ smutku. Zwykle wtedy kopała swojego kota, który przelatywał obrażony przez pół domu. I niech się wszyscy cieszą, że nie kopała mocniej, niech jej będą wdzięczni za poskromienie siły. Aby jednak nie zrobić nikomu krzywdy, postanowiła się tego dnia pocieszyć szkiełkiem. Tak długo szukała go w pudełku, aż zniecierpliwiona, wysypała wszystko na biurko. Wreszcie jest – zielone, odprysk znalezione przy śmietniku obok domu babci. Skarb przysypany muszelkami znad morza oraz koralikami od koleżanki.

Jolanta odwróciła się do okna i złapała promienie słońca. Przeszyły zielony filtr, przesyły firankę, a nawet ściany. Złapała odbłask diody zamontowanej na kominie. Refleksy były jak przedziwne snopy światła kierowane prosto z kosmosu na mieszkanie w zwyk-

łym bloku pracowników Fabryki Samochodów Osobowych Żerań. Były jak tajemnicze znaki wysyłane przez obce cywilizacje do niezaradnych Ziemi, których nie było stać na fikuśne satelity, tylko ze śmietnika brali zbite szklanki i się nimi bawili.

Jakie to znaki, po co nam one?

Jolanta nie wiedziała.

Tymczasem kosmici siedzieli w swoim płaskim stateczku i obserwowali. Dziwili się i cmokali, odwracając z niesmakiem głowy. A ludzie zadzierali głowy do nieba i oczekiwali magicznych znaków, które choć przez chwilę sprawiłyby, że ten świat wyglądałby inaczej. Po niebieskim niebie latało w kółko UFO i zostawiało białe bruzdy. Krzyżowały się one i przesywały świadomość, tworząc w niej wykluczające się ścieżki. Jak dziwne blizny pamiętania nadające znaczenia każdemu słowu, które wypowiemy, każdemu czynowi, który popełnimy, i każdej myśli, której będziemy się bali pomyśleć. Niebo nad blokowiskiem poorane we wszystkie strony, ze skłębiowymi chmurami nachodzącymi na siebie i zasłaniającymi wszystkie skarby wszechświata. Nad blokowiskiem nie ma kosmosu, nie ma czarnej dziury i konstelacji planet. Jest tylko rama H, jest tylko azbest i cement. Są również skarby ukryte głęboko w ziemi. Nie można ich wykopać, bo są niewidoczne, nie można ich znaleźć, bo do tego trzeba być urodzonym w bloku na Kowalczyka. Nigdzie indziej, tylko tam. Na końcu świata, na początku nowej historii.

Aby ją zacząć, należy mocno wpatrywać się w pęknięcia między chodnikami. Kiedy wsypie się do nich piasku i żwiru, to pokażą nam się twarze osób nieobecnych. Jolanta usypywała sobie z piasku twarz swojego taty. Zniknął pewnego dnia, jak znikają ludzie na całym świecie. Stał na przystanku, odprowadzając ją do szkoły podstawowej.

- Drugie śniadanie wzięłaś? Picie masz? Zapnij się pod szyją i popraw sobie płaszcz.

Jolanta stała o siódmej trzydzieści i żegnała się z tatą, który szedł zaraz do pracy. To pa, do zobaczenia.

Ale tata nie pojawił się na kolacji i nie pojawił się również na drugi dzień. W ogóle go nie było przez kilka dni, tygodni, które przetrwały się w miesiące. Patrzyło na siebie rodzeństwo zdziwione i nie śmiało zapytać matki. A ta stała wyprostowana jak struna przy oknie i przestawiała cukiernicę. Mamrotała do siebie:

- Może lepiej, jak będzie stała z lewej. Chociaż nie, wtedy zawadzać będzie o garnki. Może lepiej jednak, aby została na dotychczasowym miejscu.

Kilka tygodni tak przestawiała, no ale ile można, człowiekowi ręce mdleją od tego szurania po blacie. I starszy brat się w końcu spytał, czy tata jeszcze wróci. A wtedy mama wcale na niego nie spojrziała, tylko wyszła z kuchni, wyszła z mieszkania. Wróciła

w nocy, bardzo zziębnięta. Nic nie mówiła, twarz jej się zbiegła w jeden punkt i złała z czarnym golfem, który zwykle nosiła.

Czasami wydaje się, że matki mają taki wewnętrzny przycisk zawieszania się. Nie docierają do nich żadne komunikaty, żadne sygnały z zewnątrz. Są jak zamrożone komórki. Królowa Śniegu przyjechała na swoich saniach przez Modlińską, wjechała windą i chuchnęła na matkę. Koniec, matka ani drgnie. Twarz jej zastygła w neutralnej mimice. Pod twarzą zawisnął napis: „W ogóle mnie to nie obchodzi, bo to nie o mnie i nie moja historia”. A w środku burza z piorunami i wyrywanie zębów bez znieczulenia.

I dopiero potem się okazało, że ojciec uciekł do innej. Nagle, niepostrzeżenie. Tamta pracowała w fabryce i była młodsza od mamy, a przez to lepsza. Sympatyczna taka, czasami Jola widywała ją na świątecznych imprezach typu Gwiazdka dla dzieci pracowników. Dziad Mróz przytaszczał wory czekolady, dzieci wrzeszczały. A ta pani była zwykle Śnieżynką. Ubrana w rajstopy i puchową sukienkę głaskała dzieci po głowach. Ojciec zamieszkał z nią na sąsiednim osiedlu. Kiedy pierwszy raz spotkali się niechcący na ulicy, to nawet nie wiedzieli, co powiedzieć.

- Dlaczego nie przychodzisz do nas, tato?

- Joluniu, to są wszystko sprawy dorosłych i ty tego nie zrozumiesz.

Matka też nie rozumiała, chociaż była dorosła. Tylko do sąsiadki czasem mówiła jakieś słowa układające się w racjonalne wyjaśnienia. Sąsiadka była kosmetyczką, pracowała w osiedlowym salonie urody „Isabella”. Ale tak naprawdę to była flecistką w filharmonii, tylko miała mało koncertów, no a z czegoś trzeba było żyć. To wydubywała krosty i skubała brwi klientkom, bo to szybkie i nie trzeba myśleć. Można wtedy w myślach komponować albo dawać koncert w Metropolitan.

Siedziały sobie z matką Jolki przy ciociosanie wieczorami i paliły tak dużo papierosów, że para rozchodziła się po korytarzu i zasnuwała wszystkich, jak na dyskotecze ze sztuczną mgłą. Matka zwiјаła nogi na fotelu i wyjaśniała:

- Dwójka dzieci, ja z obwisłym biustem. Ja w starej sukience, znana na wskroś. Nudna. A tamta w nowej sukience, bez dzieci. Ciekawa.

Jolanta podsłuchiwała przez uchylone drzwi, bo tylko tak mogła dowiedzieć się czegokolwiek. Miała jedenaście lat i chciała wiedzieć, ale nikt z nią nie rozmawiał. Krzyczała do nich: „Powiedzcie coś!”, ale krzyczała bezgłośnie, bo była wychowana do życia w ciszy. Wszystkie swoje uczucia lokowała w ozdobnym pudełku i zamykała na kluczyk. Po rozstaniu rodziców przez długi czas podejrzewała, że zrobiła coś nie tak, że była okropnie niegrzeczna i tata wymierzył jej karę-sztuczkę. Że zniknął, rozplynął się między murami. Dla-

tego też usypywała jego twarz z piasku, aby nadać mu kształt. Czasami jego portret na chodniku był uśmiechnięty, a czasami groźnie szczyrzył zęby, jak owczarek na podwórku, który cały czas szczekał i straszył dzieci. Ale te dzieci rozwiedzionych rodziców w ogóle nie boją się szczekających psów. Bez problemu wkładają w ich paszczę dłonie i śmieją się, kiedy zwierzęta odgryzają im po kolei palce. Łaskocze, haha, strasznie łaskocze.

Dzieci śpiewają wspólne piosenki o porzuceniu i tańczą w kółko podwórka, trzymając się za ręce. Są bardzo uśmiechnięte, zawsze za bardzo. Niektórym nawet pęka skóra na policzkach od wiecznej radości. Niektórym skóra pęka na nadgarstkach, kiedy mają naście lat i głupie pomysły w głowach. Dorośli biorą ostrożnie w dłonie ich ciała i kręcą z dezaprobatą głowami. A po co to, na co te zabawy, te drapaniny. Chcesz się zabić? Za dużym tchórzem jesteś, żeby się zabić.

Dzieci rozwiedzionych rodziców uwielbiają również nic nie robić w pokoju i tylko leżeć na łóżku, to jest wspaniała i zupełnie neutralna czynność, do której nikt się nie przyczepi.

- A ty co tak na łóżku się wylegujesz, idź na podwórko, na powietrze, ale już!

Matka trzaskała drzwiami, matka nakazywała. Dziewczyna wstawiała powoli i nakładała na siebie przypadkowe ubrania. Jej gęste włosy były trudne do rozczesania, więc końcówki plątały się i supłały, łaskocząc w kark.

Z okna Jolanty widać było szlaban parkingu strzeżonego społecznie, na którym stała buda zrobiona z altanki działkowej. W niej to mieszkał mędrzec, który w mrygającym telewizorku odbierał wszelkie znaki kosmiczne i przekazywał dalej. Pan Stefan był jak strażnik asfaltu i białych firanek przycinanych nagłym zamknięciem okna. Siadał na rozkładanym krzeselku, rozwiązywał krzyżówki i kierował wewnętrznym ruchem. Dzięki alkoholowi potrafił przejść w stan lewitacji i przepowiadał przyszłość. Kiedyś wziął się w nocy za podlewanie kwiatów obsadzonych wokół siatki. Długim szlauchem pompował wodę, aż stracił równowagę i wywalił się w rabatki. Rura wiła się jak zaklinany wąż, a stróż leżał zmoczony wodą, jak osiedlowa żaba mająca oko na wszystkich. Pech chciał, że zabłąkany nocą samochód przejechał mu stopę. To odwrócił się tylko i spojrzął w oczy kierowcy, aż ten zrozumiał, że musi sobie znaleźć nowe miejsce postojowe, gdyż dotychczasowe jest spalone. Jest zajęte. Nie ma go już w ofercie.

Szlaban podnosił się i opadał, dzień i noc, na teren osiedla wjeżdżały fiaty i polonezy. Wszyscy mieli takie samochody, jakie sobie w pobliskim zakładzie wyprodukowali. Zarażali się nawzajem rdzą i migali wstecznymi, jakby w ostatniej chwili chcieli się wycofać. Tylko że kto raz na osiedlu zapuścił korzenie, to już na osiedlu zоста-

nie i nie ma możliwości zmiany adresu. Nie ma innej możliwości życia i wiele osób chorowało w związku z tym na nerwicę wywołaną niepokojem o przyszłość. Ich skóra była lśniąca jak maska samochodu, ich oddech jak rura wydechowa z wciśniętym ręcznym hamulcem. Kobiety chodziły ubrane w tapicerkę z siedzeń, a dzieci bawiły się zapasowymi kołami. Pan Stefan poprawiał opadające spodnie związane linką holowniczą i jadł smar. Łyżkami. Ze smakiem.

Jolanta lubiła u niego przesiadywać. Sadzał ją na starym krześle przykrytym narzutą i dawał do ręki lornetkę. Mogła sobie podglądać ludzi w sąsiednim domu albo przyglądać dłoni, jak stawała się większa od jej twarzy. Jak zbliżała się do położonej na stoliku paczki carmenów. Jak stawała się zupełnie obca, oddzielona od reszty ciała. Pan Stefan ciumkał miętuski obleczone pudrem i śpiewał stare piosenki. Niektóre z brzydkimi wyrazami - wtedy w ich miejsce udawał, że kaszle lub smarka nos. Jolanta śmiała się i machała nogami, które nie dosięgały ziemi. Nic wtedy nie było na ziemi i z niej nie pochodziło. Dziewczyna była zesłana w celu przeprowadzenia tajnej misji, była zesłana przez talerze zielonych ludków. Piła oranżadę, głośno bekając. Stała przy oknie i łapała ostatnie promyki przepuszczane przez swoje szkiełko. Nuciła bez nadziei, niby to piosenkę dla swojej lalki, ale w rzeczywistości dla siebie śpiewała głosem drżącym:

*W szkiełku butelki  
Gromadzą się złe moce  
W odbiciu lustrzanym  
Obcujesz z nienazwanym  
Jak dziwny posłaniec tylko złych wiadomości  
Nie czujesz w brzuchu  
Że masz małych gości  
A tylko się krztusisz  
Chcesz wypluć obcego  
Namierzasz go resztką strachu swojego  
Szkiełkiem butelki  
Przenikasz skórę  
I kończysz nieznośne fantomowe bóle*

Potem chowała swój skarb do pudełka i szła do szkoły. W ogóle niczego nie była świadoma, a już szczególnie przyszłości. Co ona biedna mogła, jak to już wszystko było wcześniej zaplanowane w gwiazdach widocznie, bo nikt na ziemi takich bezeceństw by nie wymyślił. Umysł tego nie obejmuje, a serce odrzuca.

Zamknęła oczy. Tylko tyle mogła zrobić.